

Warszawski anarchista: Irokezy robią dziś sobie nawet sekretarki [rozmowa]

Tymoteusz Onyszkiewicz, Paweł Gawlik

28 stycznia 2016

Paweł Gawlik: Byłeś jedynym punkiem na swoim osiedlu?

Tymoteusz Onyszkiewicz: Przy ulicy generała Zajączka na Żoliborzu było nas dwóch. Nikt nie robił nam problemów. Kłopoty zaczęły się, gdy przeprowadziłem się na ul. Andersa, wówczas Nowotki. Na ławce pod blokiem cały dzień siedzieli znudzeni git-ludzie i każde wyjście z domu kończyło się co najmniej wyzwiskami, a często bijatykami. Więcej problemów niż ze skinami było pod koniec lat 80. właśnie z gitowcami.

Trafiłeś do Szkolnego Ośrodka Socjoterapii, jego uczniowie byli postrzegani w środowiskach alternatywnych jako "elita".

- Widać było, że to miejsce, które przyciąga niepokornych. Ściany posprejowane, wszędzie ulotki, punkowcy. Byłem zachwycony. Zaczęliśmy z kilkoma jeszcze osobami szaleć. Zrobiliśmy kiedyś barykadę przed wejściem do szkoły, powiesiliśmy czarne flagi i ogłosiliśmy strajk okupacyjny. Nauczyciele podeszli do tego spokojnie, uznali, że już nam chyba palma kompletnie odbiła. Kiedy indziej podzielono naszą klasę za karę na dwie części. Stwierdziliśmy, że nie możemy na to pozwolić, i wydłubaliśmy dziurę w ścianie między klasami. Nie było to trudne, bo była z płyty pilśniowej.

Na tle Polski było to miejsce wyjątkowe. Nasz bunt polegał na tym, że chcieliśmy zamiast Sartre'a czytać Kropotkina, a zamiast palić marihuanę i słuchać Joy Division, rozrzucać ulotki na ulicy i walczyć z komunistycznym systemem.

Pod koniec lat 80. był problem z kupieniem butelki piwa. O marihuanę było łatwiej?

- Tak, ludzie sadzili ją w polu, w doniczkach. Pamiętam konopie rosnące na Woli, policja nie wiedziała jeszcze, jak marihuana wygląda.

To z potrzeby szkolnych prowokacji narodziła się grupa parateatralna A-Cykliści?

- To stało się już po tym, jak opuściłem szkołę, na początku lat 90. Trzon grupy tworzyły osoby związane w różny sposób z SOS-em. Był fajny zwyczaj, że codziennie serwowano śniadania i obiady. Na śniadanie był chleb z majonezem, jeśli ktoś się załapał, albo z musztardą. Na obiad resztki z baru, który działał przy rondzie Wiatraczna. Na te posiłki przychodzili znajomi punkowcy, którzy oczywiście nie mieli kasy. Wtedy wszyscy nie mieliśmy kasy, spotykaliśmy się w kawiarni w cztery osoby przy czterech szklankach wrzątku i jednej herbacie w torebce rozdzielanej pomiędzy te szklanki. Mieliśmy taką kawiarnię Przy Kaście przy pl. Bankowym, gdzie barmanki na to pozwalały. Byłem tam niedawno i nic się nie zmieniło, nawet panie pracują te same.

Te posiłki były okazją do spotkań młodzieży alternatywnej, ludzi, którzy uciekali z domów. Rastamani, metalowcy, egzystencjaliści w rozciągniętych swetrach. Siedziało się w SOS-ie w dużej świetlicy i rozmawiało. To z takich rozmów ukształtowała się grupa A-Cykliści.

Zajmowaliście się głównie akcjami ulicznymi?

- Demonstracjami, choć zrobiliśmy też dwa-trzy paraspektakle. Były też akcje polegające na wchodzeniu do różnych miejsc, np. szkół, gdzie udawaliśmy inspektorów, do giełdy...

Co robiliście w budynku giełdy?

- Rozdawaliśmy ulotki. By wejść do środka, musiałem zrobić sobie ładną fryzurę, wbić się w garnitur, wziąć czarną teczkę. Bardzo z tego powodu cierpiałem. Wygląd oznaczał wtedy osobowość.

Co było dla was inspiracją?

- Interesowaliśmy się teatrem Grotowskiego, działalnością Kantora. Ciekawili nas sytuacjoniści i ruch happeningowy lat 60. i 70. na Zachodzie. Wtedy nie było o tym wielu tekstów, głównym źródłem wiedzy były małe książeczki o sztuce z serii Nefretete. Najważniejsza była cieniutka książka "Happening", w której opisano kilka akcji. Przekazywaliśmy ją sobie i improwizowaliśmy na jej podstawie. W tej serii ukazały się też "Surrealizm", "Futuryzm", "Dadaizm".

Inne ważne lektury?

- "Drogi kontrkultury" Aldony Jawłowskiej, "Człowiek jednowymiarowy" Marcuse'a, "Etyka, pochodzenie i rozwój moralności" Kropotkina. Wystarczało dosłownie pięć książek, by zbudować na nich cały swój świat. Do tego gazety "Razem" i "Na Przełaj" - oficjalna gazeta harcerska, która stała się kontrkulturową.

To tam zaczynał Mariusz Szczygieł.

- Zgadza się. Ale to, co było naprawdę ważne, to spotkania młodzieży kontrkulturowej w redakcji. Przychodzili członkowie ruchu ekologicznego Wolę Być, punkowcy z irokezami. Dyskutowaliśmy. Słuchało się Rozgłośni Harcerskiej, gdzie puszczano nowe zespoły i informowano o koncertach. Nie chodziło tylko o muzykę, często zespoły niczym się od siebie nie różniły, a słów piosenek i tak nie można było zrozumieć. Chodziło o poczucie wspólnoty.

Na początku lat 90. to wy zaczęliście organizować spotkania - na uniwersytecie, choć nie byliście studentami.

- Na Wydziale Socjologii organizowaliśmy Uniwersytet Krytyczny. Pomógł nam w tym dr Henryk Kliszko, założyciel bieszczadzkiej Chaty Socjologa. Na spotkania przychodziło tyle osób, że nie mieściły się nie tylko w sali wykładowej, ale i na korytarzu. Pamiętam ludzi siedzących na schodach i wymieniających się miejscami z tymi w środku. To trwało z rok.

Jakie miałeś nadzieje związane z przełomem 1989 r.?

- Miałem poczucie, że można wszystko zacząć od nowa. Większość osób była nakierowana na kapitalizm, ustawiała sobie kolekcje puszek po napojach, żyła mitem Ameryki. Środowiska alternatywne wyczuwały, że Zachód to nie jest taka fantastyczna sprawa. Chcieliśmy wolności, ale trudno było powiedzieć, jak ma wyglądać. Czuliśmy żar. Było to ładne, bo romantyczne, ale i nieładne, bo jak coś nie jest skonkretyzowane, to nie może się udać.

Wtedy nie występowaliście przeciw kapitalizmowi. Były protesty w rocznicę masakry na placu Tiananmen czy w obronie amerykańskiego anarchisty Kenny'ego Tolia.

- Ważne były też demonstracje ekologiczne, przeciw przymusowej służbie wojskowej, obecności wojsk radzieckich w Polsce. Z robotnikami, rolnikami nie mieliśmy kontaktu i mieć nie mogliśmy, boby nas nie zaakceptowali. Zajmowaliśmy się więc prawami człowieka i faszyzmem. Wszyscy mieliśmy przed oczami niemieckie obozy koncentracyjne, wszelkie przejawy odrodzenia nacjonalizmu budziły silny sprzeciw. Do tego stopnia, że ludzie robili często rzeczy bardzo niebezpieczne - nasz kolega "Obiad" kładł się pod koła policyjnych nysek, gdy te chciały przeszkodzić w niezgłoszonej demonstracji w rocznicę nocy kryształowej.

Przed demonstracjami chodziliście na pl. Zamkowy, by zebrać uczestników.

- Wtedy nie było takich możliwości przekazywania informacji jak dziś, choć w "Wyborczej" pisywał o nas czasem Adam Wajrak. Trzeba było chodzić w miejsca, gdzie skupiała się młodzież alternatywna. Przede wszystkim na Stare Miasto, pl. Zamkowy i Nowy Świat. Chodziliśmy też do liceów życzliwych alternatywie, im. Górskiego na Żoliborzu, do Bato-rego. Zostawialiśmy tam ulotki, plakaty.

W 1993 r. wycofałeś się z ulicznej aktywności. Dlaczego?

- Zdałem sobie sprawę z jałowości naszych działań. Robiliśmy kolejne happeningi, demonstracje, akcje ulotkowe, a niewiele się zmieniało. Społeczeństwo stawało się coraz bardziej nieprzychylnie buntom. Gdy w 1993 r. po demonstracji w rocznicę Tiananmen wybiegłem na ulicę Freta i rozrzuciłem ulotki, nikt się po nie nie schylił. Jeszcze rok wcześniej każdy by podniósł, by sprawdzić, o co chodzi. Zatrzymała mnie wtedy policja i i też nikt nie podszedł, nie spytał, co mi robią. Zmieniła się sytuacja społeczna, ludzie myśleli: "No dobra, komunizm umarł, budujemy nowy system".

Masz poczucie, że udało wam się wprowadzić jakieś idee do publicznej debaty?

- Na naszych ruchach, na tej kontrkulturze wyrósł później silny ruch feministyczny i anarchofeministyczny. Efektem ubocznym naszej działalności była też większa swoboda obyczajów. Śmieję się, że dziś irokezy robią sobie sekretarki, a wtedy za irokeza było się bitym. Nie udało się najważniejsze - zniechęcić ludzi do ultrapravicowych, nacjonalistycznych idei. Ludzie z ruchów skinowskich trafili w okresie IV RP do ministerstw.

Początek lat XXI w. opisujesz jako czas zagubienia. Anarchiści spotykają się w Amatorskiej, piją piwo i to jest treścią ich życia.

- Po 1993 r. ludzie drugiej kontrkultury - bo pierwszą stanowiło pokolenie Dezertera, Armii i Deutera - popadli w marazm. Powstały pierwsze kluby młodzieżowe, gdzie można było siedzieć, dużo pić i przychodzili tam sami swoi. Zaczęła się prosperity, rodzice dawali pieniądze dzieciom, a te wydawały je na alkohol.

Pojawiły się pierwsze "worki" naprzeciw domu meblowego Emilia - namioty otoczone workami z piaskiem, w których sprzedawano tanie piwo, a sikać chodziło się na murek Pałacu Kultury. Następne było Le Madame, potem miejsce zła - ulica Dobra i diabelski trójkąt Złoty Lew - Aurora - Jadłodajnia Filozoficzna. Tam już właściwie mieszkaliśmy. Przychodziło się codziennie. I piło.

Aż przyszedł 2004 r. i europejski szczyt gospodarczy. Powstała koncepcja antyszczytu alterglobalistów. Ta idea zadziałała jak wylanie wody na skacowanego pijaka. Wszyscy się obudzili, ja też.

Udało się wam przestraszyć całe miasto. Witryny sklepów zabito deskami.

- Organizatorzy cierpliwie tłumaczyli, że nie będzie żadnej rozwałki. Poprzyjeżdżali znajomi z całej Polski, myślałem, że dawno poszli do pracy, kapitalizm ich wchłonął. Okazało się, że nie. Że podobnie jak ja nie wiedzieli cały czas, co ze sobą zrobić. Każdy stworzył dla siebie alternatywę wewnętrzną, a wszyscy zostali bywalcami alkoholowych miejsc. Kwitł anarchizm knajpiany. Antyszczyt dał nadzieję, że coś się zmieni. Że zobaczy nas cała Polska. Że to będzie początek czegoś nowego.

Przez miasto przeszło parę tysięcy osób, nikt wam nie przeszkadzał. Doszliście do końca trasy i poszliście do domów.

- Nie powstało nic na przyszłość. Antyszczyt został potraktowany jak zadanie do wykonania. Po nim nastąpił kolejny czas flauty. Symbolizuje go praski klub Saturator - miejsce łączące środowiska punkowe, queerowe, transowe, feministyczne, a jednocześnie bardzo dekadentkie. Ludzie, którzy rozumieli się nawzajem, znali swoje dziwactwa, czuli się tam dobrze i to im wystarczało.

Zaczęły się Manify, Parady Równości. A wy zostaliście z boku.

- Nie wszyscy, np. Jakub Żaczek skupił się na kwestiach lokatorskich, aktywnie działają moi koledzy z tamtych lat, "Owca" czy "Rupert". Pamiętam nielegalną Paradę Równości za rządów Lecha Kaczyńskiego w warszawskim ratuszu. Atakowali ją sfrustrowani nacjonaliści. Przyszliśmy ochraniać protestujących, ale czuliśmy, że jesteśmy z innego czasu.

Teraz bywam na squatach, w Przychodni czy Adzie, dobrze się tam czuję. Czasem modeluję dyskusje, ale nie potrafię się już komunikować z młodymi ludźmi. To już inne pokolenie, a ja pozostałem człowiekiem XX wieku.

Jak dziś wygląda anarchizm w Warszawie?

- W zeszłym roku anarchiści zorganizowali bardzo dobrą manifestację przeciw przemocy. Ucieszyłem się, że tak dużo ludzi przyszło. Byli i ludzie z Razem, i feministki, i ludzie ze squatów, i stare punkowe dziady. Wszyscy szli ramię w ramię w słusznej sprawie.

Ruch anarchistyczny istnieje, ale mój anarchizm jest inny niż osób z Inicjatywy Pracowniczej czy squatów. Nie ma mnie w tych ruchach, choć przyglądam się im z sympatią. Dziś zajmuję się jogą i gnozą, a anarchizm to dla mnie przede wszystkim postawa etyczna. Życie bez przymusu i władzy możliwe jest tylko wtedy, gdy ma się samoświadomość. Żeby współtworzyć relacje międzyludzkie bez władzy, musimy sami budować świadomie relacje.

Tymoteusz Onyszkiewicz - Ur. w 1973 roku, w latach 90. uczestnik ruchów anarchistycznych w Warszawie. Autor siedmiu tomów wierszy i dwóch książek wspomnieniowych: "Rewolucja. Wspomnienia warszawskiego anarchisty" (2014) i "Opary anarchii, łyżewolucji" (2015) o historii anarchizmu w Warszawie.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Tymoteusz Onyszkiewicz, Paweł Gawlik
Warszawski anarchista: Irokezy robią dziś sobie nawet sekretarki [rozmowa]
28 stycznia 2016

<https://warszawa.wyborcza.pl/warszawa/1,150427,19550312,warszawski-anarchista-irokezy-robia-dzis-sobie-nawet-sekretarki.html>

Wydane w "Magazynie stołecznym" Gazety Wyborczej

pl.anarchistlibraries.net